

Czyta: #TataMariusz



Joanna Papuzińska

Jak sprzedał konia i przez las wracał



Utwór udostępniony na Licencji Wolnej Sztuki
(szczegóły licencji >> [klik](#) <<).



Czyta:
#TataMariusz

Żył sobie w jednej wsi gospodarz ani zamożny, ani ubogi, taki w sam raz. Hodował konie i miał do nich dobrą rękę, jak powiadali. Zawsze o nie dbał i niczego im nie żałował, a jak im chciał szczególnie dogodzić, to gotował kartofle, ubijał je w garnku, dodawał otręby i ugniatał takie nieduże kulki, które zanosił koniom do stajni i tam je częstował, a konie bardzo te podarki lubiły. Był on człowiekiem pogodnego ducha i zwykł mawiać, że takie życie: nie za biedne, ani nie za bogate, jest najlepsze — bo jest właśnie „w sam raz”.

Przed domem jego rozciągał się kawałek ziemi nieurodzajny, na którym tylko jałowce rosły. Ale gospodarz lubił ten jałowy kawałek. Lubił siadać na progu w wolnej chwili i patrzeć jak jałowce stoją wyprostowane, niby żołnierze na warcie. Albo kiedy wiatr się zerwie i deszcz gwałtowny lunie, nachylają się do siebie i coś tam sobie gadają, nie wiadomo o czym. Patrząc na te postacie gospodarz czasem w myślach coś zagadywał do nich, jakby byli jego rodziną: jednego nazywał wujkiem, innego stryjaszkiem, a temu najbardziej pokrzywionemu nadał imię pradziadka.

Ale oczywiście nikomu o tym nie mówił, bo jeszcze by kto go wyśmiał, albo co.

Jałowce, jak to jałowce, nie wymagały żadnego podlewania, ani pielęgnacji. Ot, same z siebie rosły. Ale gospodarz, który był człowiekiem starannym, obchodził je od czasu do czasu i suche, zrudziałe gałęzie obcinał, a zostawiał te nowe, zielone, żeby ładnie wyglądało.

Pewnego razu odwiedził go gość jakiś bogaty i koniecznie chciał to pole jałowcowe odkupić.

— Sprzedaj mi to pole nic niewarte! Na co ci ono? Ani tu uprawy żadnej nie masz, ani pastwiska. A ja jałowce wykarczuję i coś tu wybuduję pożytecznego, bo miejsce dobre, blisko drogi, to mi pasuje.



— Panie! — odrzekł gospodarz. — Mój dziadek lubił patrzeć na te jałowce. Mój ojciec lubił tu siadać i patrzeć na nie. To i ja będę tu siedział i patrzył. I nikomu ich nie sprzedam.

— Od samego patrzenia majątku ci nie przybędzie! Już lepiej byś sprzedał i wziął dobry pieniądz za to.

— Może i nie przybędzie, ale też nie ubędzie od patrzenia. Nie sprzedam.

— A sprzedaj!

— A nie sprzedam!

Tak sobie jeszcze pogadali bez skutku, w końcu kupiec zabrał się i poszedł, a gospodarz został na progu, zadowolony, że na swoim postawił. Ale kupiec wcale nie miał zamiaru zrezygnować i myślał cały czas, jak by tu gospodarza zmusić do sprzedaży tego pola. Jaki tu podstęp wymyślić?

— Jak go ściśnie bieda, to mi wtedy sprzeda! — przypomniał sobie kupiec stare porzekadło i zaczął obmyślać, jak by tu gospodarza na majątku ukrzywdzić.

Zbliżała się pora targów końskich w niedalekim mieście, no i gospodarz miał zamiar sprzedać jednego ze swych koni. Spodziewał się dostać za niego niezłą cenę, bo koń był zdrowy, silny, zadbany. Ale też nie zamierzał sprzedawać swojego konia byle komu, chciał go oddać w dobre ręce, żeby zwierzę nie zaznało głodu, bicia, ponieważ od żadnego okrutnika.

Już z początku trafili mu się jacyś klienci. Ale źle im z oczu patrzyło, nie wyglądali na dobrych ludzi, a tak jakoś kręcili z ceną, tak mącili, na co im koń potrzebny, że w końcu tylko czas z nimi stracił. Ale potem trafił w końcu na odpowiedniego kupca, który mu się spodobał i dobił z nim targu.



Wraca gospodarz z jarmarku, zadowolony, że konia dobrze sprzedał, za pazuchą pieniądze szeleszczą. Tylko nie wiadomo jak tyle czasu mu zeszło, bo już słońce zachodzi. A droga przez las prowadzi, więc coraz ciemniej się robi; tylko z boku jeszcze, nad samą ziemią jakiś promień między pniami drzew błysnie, a i to coraz słabszy. Więc kroku przyspiesza, bo jakoś niemiło się czuje. Ale i tak jeszcze sporo mu drogi przez las zostało, a już czarna noc dokota.

Strach lodowatą ręką za koszulę mu sięga. Jakaś okropna twarz wygląda z dziupli dębowej, oczy jak dwie latarki świecą.

— Umykaj! Umykaj! — słyszy głos ponury.

— E, pomyślał zaraz — to tylko sowa z dziupli woła — nie ma strachu.

Idzie dalej, ale jakoś mu nieswojo. Przy drodze w zaroślach coś co chwila szeleści, jakby ktoś się tam skradał czy czaił.

— Ech, strachy na Lachy — mówi do siebie — pewnie to jakiś lis czy borsuk przez krzaki się przeciska, nic mi przecie nie zrobi...

Lecz nie wiedział gospodarz o tym, że to podstępny kupiec złodziei na niego namówił, żeby go z zarobionych pieniędzy okradli. I jeszcze na targu fałszywych kupców udawali, niby, że chcą konia kupić, a w końcu wcale nie kupowali, więc cały dzień zmitrężył i po ciemku musiał wracać, a oni już w lesie na niego czatowali.

Jak się rzekło, nie wiedział gospodarz o niczym, tylko niepokój czuł jakiś dziwny, więc dla uspokojenia ducha pacierze zaczął odmawiać. Modlił się za siebie, za rodziców swoich, za dziadków i pradziadków i tak jakoś droga mu zeszła.

Już do krańca lasu się zbliżał, już jasne światło księżyca widział, z nadzieją przed siebie spojrzął, ale nie! Nie ma nadziei żadnej!



Czterech chłopa drogę mu zastąpiło, w rękach kije potężne, a pewnie i noże gdzie schowane...

— Dawaj pieniądze, albo zginiesz! — wołają z daleka.

Spróbował gospodarz rzucić się w jakąś boczną ścieżkę, żeby złodziejom umknąć, ale nic z tego! On tylko jeden, a ich czterech, i to takich zbójowatych, że aż strach w oczy spojrzeć.

Okrążyli gospodarza i zdaje się, że już ratunku nie będzie.

— Oj, marnie — pomyślał sobie i duszę Bogu polecił.

Ale cóż to? Żaden cios nie pada i widzi gospodarz, że złodzieje splotyli się i znikają w lesie. A od strony drogi zbliża się liczna gromada ludzka. A może i nie ludzka? Dziwna jakaś, choć maszerują jak ludzie... Och, to jałowce nadchodzą! Kroczą równo, jakby wojsko jakieś, a złodzieje pierzchają przed nimi w popłochu.

Poznaje gospodarz znajomych ze swego pola: wujka, i stryjka, i koślawego pradziadka nawet, i innych jeszcze, których nazwać nie zdążył... Otaczają go gromadą i bezpiecznie do domu prowadzą.

A złodzieje tłumaczyli się później bogatemu kupcowi, że nie udało się im zlecenia wykonać i okraść gospodarza, bo jakaś liczna grupa dziwnych ludzi razem z nim szła, a nie wiadomo skąd się wzięła.

A i sam gospodarz sobie tego zdarzenia wyjaśnić nie umiał. Czy to jałowce przysły mu z pomocą? Czy dusze przodków, za których się modlił, otoczyły go opieką?

Siedział sobie po dawnemu na progu domu, patrzył na jałowcowe pole i miał o czym myśleć.

